

Chrześcijaństwo społeczeństwo nadziei

i

21 sierpnia 2008

Czy katolicyzm w Polsce służy tylko uprzywilejowanym?

Z czym kojarzy mi się polski katolicyzm? Z apoteozą gospodarczego liberalizmu, często zapożyczonego od amerykańskich neokonserwatystów, z politycznym triumfalizmem, niemal wprost proporcjonalnie rosnącym do regresu w sferze oddziaływań społecznych, z kuriami przypominającymi twierdze, ze sprowadzaniem etyki do kwestii rozporka, z kompletną obojętnością (by nie powiedzieć wrogością) wobec zagadnień ekologicznych i znaczną mizérią w sferze troski o losy gorzej sytuowanych i ubogich. Czy w Polsce, kraju ponoć tak katolickim, istnieje chadecja? Czy ktoś tu słyszał o chrześcijańskim socjalizmie? Nie. Religię jako akt społeczno-polityczny mają u nas dla siebie środowiska narodowo-katolickie. Owszem, traktują ją z całą konsekwencją także politycy pokroju Marka Jurka, ale oni przypominają dziś bardziej „kustoszy Tradycji”, niż ludzi realnie oddziaływujących na sferę publiczną polityków.

W pewnym sensie polski katolicyzm wydaje się martwy i wycofany z przestrzeni publicznej. Myślę o pewnego rodzaju intelektualnym prymitywizmie, który zakłada, że religia jest albo dla nacjonalistów (i wtedy pejoratywnie nazywa się ją zwykle „fundamentalistyczną”), albo dla miłośników „społeczeństwa otwartego”, co czyni ją miłą, a przynajmniej znośną w oczach epigonów Oświecenia. Ostatecznie da się ją pogodzić z tzw. wolnym rynkiem, czyli – w praktyce – z ekonomicznym darwinizmem i egoizmem, wyznawanym przez część lepiej sytuowanych Polaków na dorobku. Na ostatni rodzaj katolicyzmu made in III RP składa się niemal równorzędnie Biblia, Tradycja i koncepcja państwa jako nocnego stróża. Bo, wedle tej wizji, co z państwa jest, od złego pochodzi...

Nie wynika to jednak z natury religii katolickiej, ale z polskiej traumy historycznej. Tu bowiem każda forma odwołania się do państwa, niemal każda forma etatyzmu traktowana jest jako relikw PRL-u. A każde odwołanie do troski o dobro wspólne (definiowane inaczej niż często-gęsto sprowadzone do czystej formułki wezwania: „Bóg, honor, ojczyzna”), jakim jest np. środowisko naturalne i dbałość o nie, uważane – zgodnie z najgorszą, krótkowzroczną (bo nie chcę nikogo oskarżać o złą wolę) manierą – za formę straszliwego lewactwa. Nic też dziwnego, że w rodzimym dyskursie publicznym skrętnie pomija się niedawne, pro-ekologiczne wypowiedzi Benedykta XVI. Polscy katolicy – en masse – by nie narażać się na wysiłek przemyślenia własnych poglądów wolą przemilczeć to, co jest dla nich w niedawnych) wypowiedziach papieskich niewygodne. A etyka chrześcijańska – powtórzę – jest traktowana przede wszystkim jako zbiór przypisów dotyczących tego, co w łóżku wolno, czego nie wypada i z kim. Można odnieść przykre wrażenie, że jesteśmy tu po prostu zakładnikami współczesnej pop-kultury, tyle że ze zmienionym znakiem. Kler zaś, który mógłby podpowiedzieć coś więcej, koncentruje się zwykle na odzyskiwaniu kościelnego majątku, fraternizacji z klasą polityczną wszelkich nurtów i życiu w błogim przeświadczeniu, że wszystko jest w najlepszym porządku. A jeśli nie jest, to znaczy, że winni są jacyś „oni”. Z tym że „oni” znaczy co innego dla abp Życińskiego, a co innego dla duchownych z miasta Torunia, co innego dla ojców paulinów z Częstochowy, a jeszcze co innego dla abp Dziwisza.

Czy istnieje dziś w polskiej polityce autentyczny ruch religijny, poza nurtem narodowo-katolickim? Wątpię. Nawet jeśli traktować z dobrą wolą deklaracje aktywu PiS czy PO, w obu tych partiach widać daleko idące dwój-myślenie, które ostatecznie każe się domyślać, że religia jest tu pewnym szacownym zabytkiem (czasem szczerze przyjmowanym), który jednak nie obliguje do poważniejszych przemyśleń natury politycznej. I nie chodzi tu bynajmniej o kwestię aborcji, w której politykom najłatwiej pogodzić się z hierarchami, bo nie

narażają żadnych wiążących dla siebie interesów. Czy słyszeliście o tym, by ktokolwiek liczący się w polityce tworzył dziś w Polsce programy w oparciu o solidaryzm społeczny, wywiedziony z Katolickiej Nauki Społecznej? Czy pamiętacie, jak najważniejsze ugrupowania polityczne odnosiły się do nauczania Jana Pawła II w sprawie wojny w Iraku? Czy wreszcie słyszeliście, by pro-ekologiczne wezwania Benedykta XVI rozeszły się szerszym echem w polskiej debacie publicznej? Pewnie nie. Nadmienię, że np. tekst Cezarego Michalskiego, poświęcony tej kwestii, został w zasadzie gruntownie przemilczany. Bo i opinie Ojca Świętego w tej kwestii są w Polsce niemal dla wszystkich niewygodne: Nowej Lewicy nie pasują do jej obrazu Kościoła, kręgom około-kościelnym do ich dziwacznie bojaźliwego (a czasem cynicznego) światopoglądu, zgodnie z którym ekologia to zło wcielone i narzędzie Żydów, masonów i lewaków.

Powtórzę: w kwestii religii w kraju tak bogatym w tradycje religijne panuje zadziwiający prymitywizm. Możesz być katolikiem-nacjonalistą, możesz być katolikiem-liberałem, możesz być wreszcie katolikiem z „Arki Noego”: bylebyś nie traktował zbyt serio państwa (boś etatysta i lewak), albo kwestii ekologicznych (boś lewak i ewentualnie z Unii się urwał), albo samej doktryny (bo widać nie było cię w „Arce Noego”). Mówiąc uczenie: jest dziś w Polsce, tak w życiu politycznym, jak i religijnym kilka paradygmatów, których przekroczyć nie wolno. A przynajmniej dla świętego spokoju nie wypada.

Tym bardziej zachwycił mnie tekst mowy Baracka Obamy, opublikowanej w pierwszym numerze reaktywowanej „Res Publici Nowej” („RPN”, wiosna/lato 2008, 192/rok XXI); mowy zatytułowanej „Wezwanie do odnowy” (Call to Renewall), wygłoszonej przezeń 28 czerwca 2006 roku. Jest to przejrzysty intelektualnie, treściwy głos na rzecz pełnoprawności religii w życiu publicznym współczesnej Ameryki, aprobujący wielość wyznań na gruncie państwa multi-kulturowego. Ten tekst

znacznie poszerza horyzonty rozumienia współczesnej polis, która w pewnym sensie w swojej egzystencji cofnęła się do czasów przed-chrześcijańskich, podporządkowując intuicję religijną polityce (wspomnijmy na los Sokratesa!). Co ciekawe – i na to zwróciłem uwagę z polskiej perspektywy – religia jest dla Obamy polityczna w sensie społecznym, nie odwrotnie. To znaczy: jest polityczna przez zmiany (z reguły zmiany na lepsze, co on sam zauważa), jakich dokonuje w świecie.

Nie zamierzam w tym miejscu referować wspomnianego tekstu obecnego kandydata Demokratów na prezydenta, zainteresowani mogą sięgnąć po „Res Publicę”. Zwrócę tylko uwagę na ważną, a zapoznaną z polskiej perspektywy kwestię, którą porusza, gdy wspomina, m.in. Martina Luthera Kinga: „Twierdzę /.../, że zwolennicy świeckości mylą się, żądając od osób wierzących, by przed wkroczeniem w sferę publiczną zostawiły swą religię na progu domu. Frederick Douglas [wybitny czarny abolicjonista – przypis tłumacza], Abraham Lincoln, William Jennings Bryant [trzykrotny kandydat na urząd prezydenta USA – [przypis tłumacza], Dorothy Day [katolicka działaczka na rzecz ubogich – przypis tłumacza], Martin Luther King – jak i większość wielkich reformatorów w amerykańskiej historii – nie tylko byli motywowani wiarą, ale także używali religijnego języka dla poparcia swej sprawy. Mówienie, że w debatach publicznych ludzie nie powinni odwoływać się do »prywatnej moralności« jest absurdem. Nasze prawo z definicji stanowi kodyfikację moralności w znacznej mierze ugruntowanej w tradycji judeochrześcijańskiej. Co więcej, jeśli my, progresiści, odrzucimy część tych uprzedzeń, mamy szansę na nowo odkryć wartości, wpływające na moralny i materialny kierunek rozwoju naszego kraju, podzielane zarówno przez osoby religijne, jak i świeckie. Możemy dojść do wniosku, iż wezwanie do poświęceń na rzecz następnych pokoleń, potrzeba myślenia w kategoriach »ty«, a nie tylko »ja«, znajduje oddźwięk w kongregacjach religijnych w całym kraju”.

Ważność tego opisu nie polega tylko na tym, że człowiek,

określający się mianem „progresisty” wskazuje na ważność religii w życiu publicznym, ale że widzi jej społeczne konsekwencje (a może i źródła?): realną możliwość budowy choć odrobinę lepszego świata. Tu rodzi się oczywiście problem: na ile doczesny, lepszy świat dla wszystkich jest kwestią zainteresowania chrześcijan, a na ile mrzonką (herezją). Dziś, jak sądzę, zbyt wielu gorliwych katolików w Polsce uważa, że bezpieczniej uciec się do eschatologii i (słusznej) nadziei na Powtórne Przyjście, niż zająć się wykluczonych i pokrzywdzonych realiami III RP. Jest to forma społecznego kwietyzmu, pozwalająca z czystym sumieniem zająć się robieniem własnych interesów, bez specjalnie głębokiej refleksji (co najwyżej ograniczonej do pomstowania na post-komunistów) nad meandrami współczesnej Polski. A zawsze znajdzie się taki pleban, co ewentualne smutki rozgrzeszy, w zamian za nowy dach na kościele. Bo choć wierni już w większości nie wierzą i do świątyni chodzą pro forma, to jednak nie wypada, by im na głowy cokolwiek padało... Są bowiem tacy księża, którzy już nie wierzą w Boga, ale wciąż wierzą, że nie powinno się psuć dobrego nastroju parafianom.

A mowa Obamy przypominała mi czytaną niegdyś książkę Martina Luthera Kinga: „Dlaczego nie możemy czekać”. Zacytuję jej fragmenty: „Zaczyna się Rok Pański 1963. Widzę młodego czarnego chłopca. Siedzi na schodkach, które prowadzą do pełnej robactwa czynszowej kamienicy w Harlemlu. Korytarze cuchną śmieciami. Chłopiec co dzień obraca się w świecie pijaków, bezrobotnych i szmaciarzy. Chodzi do szkoły, do której uczęszczają głównie Murzyni i niewielu Portorykańczyków. Jego ojciec jest bezrobotny. Matka – służąca – mieszka i pracuje na Long Island. Widzę młodą czarną dziewczynkę. Siedzi na progu zmurszałego drewnianego domku jednorodzinnego w Birmingham. Ktoś inny nazwałby to budą. Ściany aż proszą się o pomalowanie, a połatany dach grozi zapadnięciem. Pół tuzina małych mniej lub bardziej rozebranych dzieci biega po domu. Dziewczynka musi występować w roli matki. Nie może dłużej chodzić do pobliskiej szkoły, gdzie

uczą się tylko Murzyni, ponieważ jej matka zginęła niedawno w wypadku samochodowym. Sąsiedzi twierdzą, że mogłaby żyć, gdyby karetka, która miała ją zabrać do szpitala – szpitala przeznaczonego tylko dla Murzynów – nie przyjechała tak późno”.

I tu skończę ten tekst, by uniknąć nadmiaru patosu: możliwe jest chrześcijaństwo i możliwe społeczeństwo nadziei. Tylko nie jestem pewien, czy akurat tutaj, gdzie niemal wszyscy zdają się być przeniknięci Dobrą Nowiną (z poprawką na liberalizm) aż do mdłości.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Obywatel](#)